

WIDNOKRĄC

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 13 (79)
Rok III
31 III 1963 r.

W parku, w moim rodzinnym mieście na granitowym cokole tkwi brązowe popiersie mężczyzny. Od dziecka fascynowało mnie ono, a jednocześnie bałem się tej obcej, dziwnej twarzy i zawsze obchodziłem to miejsce z daleka. Kiedyś matka, zauważywszy, że na spacerach zawsze odciągają ją od drogi wiodącej obok pomnika, domyśliła się o co chodzi i powiedziała:

— No i czego się boisz? To doktor Rode, wielki i zacny człowiek. On właśnie założył dla nas ten duży, zielony park. Nie trzeba go omijać.

W wiele lat później w szpitalu, w którym uratowano życie memu ojcu dowiedziałem się, że dr Rode nie tylko dał miastu zieleni i park, ale był także inicjatorem budowy owego szpitala, że leczył zarówno bogatych i biednych, od tych ostatnich nie przyjmując najczęstszemu ani grosza. Przeciwnie oni dostawali czasem od niego pieniądze na lekarstwa.

Powiedziano mi również, że kiedy ów lekarz umarł, jego trumnę odprowadzało z placem na cmentarz całe miasto: robotnicy i urzędnicy magistracy, drobni kupcy i bogaci fabrykanci, służące, dozorczy i bezrobotni. Na ciele konduktu złączeni wspólnym bólem kroczyli: miejscowy pastor, ksiądz katolicki i rabbin.

Upłynęło sporo lat i do miasta przyszedł Niemcy. Popiersie doktora spotkał los innych pomników. Gdy jednak tylko nadeszła wolność, wróciło na swoje miejsce, choć mało kto w mieście pamiętał już doktora z osobistych z nim kontaktów.

Doktorowi Rode wystawiono pomnik. Pamięć doktora Serwina, który przez wiele lat mieszkał i leczył w Kańczudzie, mieszkańcy tego miasta uczcili nazwaniem jednej z ulic jego imieniem. Szpital w Sanoku nosi nazwisko jednego z tamtejszych lekarzy, dra Domańskiego.

Dziś, my ludzie drugiej połowy XX wieku, wyczekujący godzinami w ciasnych i mrocznych kory-

tarzach rejonowych przychodni rzadko mówimy dobrze o lekarzach. Zboleli i cierpiący, przychodzimy do nich często w ostateczności i chętnie zwalamy na nich winę i za nasze cierpienia, i za wszystko co złe nas czasem spotyka w placówkach służby zdrowia. Czynimy tak dlatego, że naprawdę niewiele o nich wiemy i wszystko tłumaczymy na ich niekorzyść.

Przyjrzyjmy się jednak temu, co dzieje się po drugiej stronie białych drzwi.

WITOLD SZYMCHYK

PO DRUGIEJ STRONIE BIAŁYCH DRZWI

Siedzę w gabinecie. Wojewódzkiej Przychodni Przeciwegruźliczej, w którym lekarz i młoda lekarka przyjmują kolejnych pacjentów. Ją widzę po raz pierwszy, jego znam od kilku lat, kiedy zaczynał pracę w Rzeszowie. Pamiętam, byłem u niego, kiedy przyjmował swoich pierwszych pacjentów: trójkę małych dziewczyn, które przyprowadziła szczupła kobieta o znużonej, cierpiącej twarzy. Dzieciom zagrażała gruźlica. Błade twarzyczki, ostre wystające kości klatki piersiowej i cieniutkie raczyny świadczyły ponadto o niedostatecznym odżywianiu.

— Gdzie pracuje mąż? — brzmiało pierwsze pytanie lekarza po zbadaniu dziewczynki.

Kobieta drgnęła i popatrzyła raptownie gdzieś na ścianę.

— Siedzi, panie — Już sześć miesięcy.

— A pani pracuje?

— Co ja mogę z takim drobniakiem. Sprzątam trochę, piorę... Dziewczynki ubierały się spo-

kojnie, zerkając na lekarza, który ni stąd ni zowąd zaczął zakręcać i odkręcać pióro.

Wysłał je potem wszystkie do prewentorium. Słowa kobiety się potwierdziły. Mąż, pijak i złodziej odsiadywał nie pierwszą karę, ona po przebytej chorobie z trudem utrzymywała całą trójkę. Mimo to nie chciała się zgodzić na wyjazd dzieci, upierała się za-trzymać je przy sobie i nie mała trudu kosztowało uzyskanie jej zgody. Później już po powrocie

Państwo M. których synek wrócił właśnie z sanatorium pozwolił wprawdzie przebrać siebie, ale zlekceważyli zbadanie pozostałych domowników. Dopiero pod groźbą kar administracyjnych wystąpił ich do prześwietlenia. Okazało się, że źródłem zakażenia był dziadek małego Jacka.

Tak, jeszcze wiele osób lekceważy niebezpieczeństwo, nie dowierza lekarzom, nie stosuje się do ich poleceń.

— A tymczasem zaufanie — mówi doktor S. — to podstawa całej kuracji i gwarancje wyleczenia. Opowiadania o „cudownych” wyleczeniach po 2-tygodniowym wstrzymaniu pacjentowi destylowanej wody bynajmniej nie są anegdotkami. W przypadkach historii np. wyniki takich wodnych kuracji są rzeczywiście doskonałe. A w ogóle chorobę zwalczą przede wszystkim organizm człowieka, przy czym predyspozycje psychiczne pacjenta odgrywają rolę ogromną, my lekarze kierujemy tylko tym procesem, pomagamy choremu. Jedynie kuracje antybiotykami i zabiegi chirurgiczne można częściowo wyłączać spod tego twierdzenia.

Tyle lekarz. A my wysiadujemy w poczekalniach? Ileż razy chodzimy do 2-3 lekarzy na raz, konfrontujemy ich diagnozy, sprawdzamy identyczność nazw leków na receptach i w końcu nie wiemy komu zaufać? Ileż razy zniechęcamy się do lekarza tylko dlatego, że zamiaszt spodziewanej streptomycyny, leków szwajcarskich, francuskich czy niemieckich zapisuje nam zwykły aspirynol i mało wymyślne nazwy lekarstw firmy „Polfa”? Lub po prostu dlatego, że nie uśmiechnął się do nas, nie rzucił dowcipu, a nawet o zgrozo! zganił coś lub przygadał?

Znany jest w Rzeszowie pewien doktor, którego pacjenci za szorstkość i niecierpanie się z nimi nazywają po cichu austriackim zapiekłem. Tymczasem wielu lekarzy mówiło mi, że w wypadku choroby poszliby tylko do niego, choćby raz po raz wyrzucał ich za drzwi. Oni wiedzą, że lekarz ten po odprawieniu pacjenta długo i ciężko coś lub przygadał?

Część płuca została usunięta i obecnie cały układ oddechowy jest w najlepszym porządku.

Dziewczyna śmieje się dziś ze swoich perypetii i potwierdza słowa lekarzy. Ich opieka nad nią nie ograniczała się do samego zdrowia. Właśnie tutaj otrzymała skierowanie do szkoły sanatorium rehabilitacyjnego w Otwocku, gdzie będzie się uczyła krawiectwa.

O zawołaniu, o wyborze szkoły, o przyszłości pacjentów mówi się tu w ogóle bardzo często. Często też

widać iskiernki wdzięczności w oczach rodziców, przeprowadzających tu swoje dzieci. Chociaż...

Dziewiętnastoletnia matka, pani W. nie chciała uwierzyć, że jej kilkumiesięczne dziecko jest zakażone. Nie chciała także słyszeć o przebadaniu jej i męża.

— Co wy mi chcecie wmówić?! — krzyczała. U nas nikt w rodzinie nigdy nie chorował! Nie pójdę na żadne badania! Niestety, okazało się, że pani W. miała otwartą gruźlicę. Trzeba było ratować i matkę, i dziecko.

Państwo M. których synek wrócił właśnie z sanatorium pozwolił wprawdzie przebrać siebie, ale zlekceważyli zbadanie pozostałych domowników. Dopiero pod groźbą kar administracyjnych wystąpił ich do prześwietlenia. Okazało się, że źródłem zakażenia był dziadek małego Jacka.

Tak, jeszcze wiele osób lekceważy niebezpieczeństwo, nie dowierza lekarzom, nie stosuje się do ich poleceń.

— A tymczasem zaufanie — mówi doktor S. — to podstawa całej kuracji i gwarancje wyleczenia. Opowiadania o „cudownych” wyleczeniach po 2-tygodniowym wstrzymaniu pacjentowi destylowanej wody bynajmniej nie są anegdotkami. W przypadkach historii np. wyniki takich wodnych kuracji są rzeczywiście doskonałe. A w ogóle chorobę zwalczą przede wszystkim organizm człowieka, przy czym predyspozycje psychiczne pacjenta odgrywają rolę ogromną, my lekarze kierujemy tylko tym procesem, pomagamy choremu. Jedynie kuracje antybiotykami i zabiegi chirurgiczne można częściowo wyłączać spod tego twierdzenia.

Tyle lekarz. A my wysiadujemy w poczekalniach? Ileż razy chodzimy do 2-3 lekarzy na raz, konfrontujemy ich diagnozy, sprawdzamy identyczność nazw leków na receptach i w końcu nie wiemy komu zaufać? Ileż razy zniechęcamy się do lekarza tylko dlatego, że zamiaszt spodziewanej streptomycyny, leków szwajcarskich, francuskich czy niemieckich zapisuje nam zwykły aspirynol i mało wymyślne nazwy lekarstw firmy „Polfa”? Lub po prostu dlatego, że nie uśmiechnął się do nas, nie rzucił dowcipu, a nawet o zgrozo! zganił coś lub przygadał?

Znany jest w Rzeszowie pewien doktor, którego pacjenci za szorstkość i niecierpanie się z nimi nazywają po cichu austriackim zapiekłem. Tymczasem wielu lekarzy mówiło mi, że w wypadku choroby poszliby tylko do niego, choćby raz po raz wyrzucał ich za drzwi. Oni wiedzą, że lekarz ten po odprawieniu pacjenta długo i ciężko coś lub przygadał?

Ciąg dalszy na str. 3)

BLIŻEJ TEATRU

Dzień 27 marca br. obchodzony był po raz drugi jako Światowy Dzień Teatru. Z taką pozycją wystąpił w ubiegłym roku Międzynarodowy Instytut Teatralny i zdobył dla swojej idei zwolenników we wszystkich krajach. W imieniu MIT znakomity dramaturg Artur Miller zwrócił się ostatnio do widzów teatralnych na całym świecie z odezwą, w której czytamy:

„Międzynarodowy Dzień Teatru, obchodzony równocześnie w tak wielu krajach, jako wyraz uznania dla tej instytucji społecznej, tym się różni od niektórych innych międzynarodowych obchodów, że ma polaryzować w rzeczywistości. Teatr bowiem był niemal zawsze międzynarodowy. I dlatego nasze teatralne święto nie wyraża pobożnego życzenia, lecz potwierdza istniejący już fakt”.

W całym swoim liście Artur Miller omawia specyficzne zadania teatru w chwili obecnej, gdy światu wciąż grozi niebezpieczeństwo strasznej zagłady.

Dla wszystkich jest jasne, że cel Światowego Dnia Teatru sprowadza się głównie do dalszego upowszechniania teatru wśród szerokich warstw społecznych. Widzów teatralnych winna połączyć idea międzynarodowego braterstwa sztuki, wspólnoty dziedzictwa postępowych nurtów kultury epok minionych, solidarności w dążeniu do zachowania pokoju.

Ministerstwo Kultury i Sztuki wraz z kilkoma tygodnikami kulturalnymi wysunęło wniosek, aby w większym niż dotychczas zakresie organizować wyjazdy ludności ze wsi na przedstawienia teatralne. W ten sposób powinny zostać zwerbowane nowe zastępy widzów.

Państwowy Teatr im. W. Sienkiewicza oraz Teatr Lalki i Aktora „Kacperk” mają w naszym województwie poważne już osiągnięcia w pozyskiwaniu wciąż nowych widzów. Niewątpliwie nie spoczna na laurach i w przyszłości.

Z okazji teatralnego święta, obchodzonego wspólnie przez aktorów, pracowników administracyjnych i technicznych teatrów oraz widzów — do życzeń dalszej owocnej pracy dołączyła się również nasza redakcja. Życzymy rzeszowskiemu placówkom teatralnym wielu udanych przedstawień i wciąż rosnącej frekwencji.

Bezgrzeszne lata pisarzy

W poprzednim „Widnokręgu” pisałem o kłopotach uczniów szkoły średniej. Nie dzieje się tak bynajmniej tylko dziś. Jak długo istnieje szkoła dzieci miały z nią zawsze jakieś kłopoty. Droga do wiedzy bowiem jest trudna. Zwłaszcza wówczas, gdy ma się jeszcze niewiele lat, a trzeba umieć już strasznie dużo.

Nawet niektórym ludziom wybitnym powodziło się w szkole nie najlepiej. Wystarczy przypomnieć, że tak znakomity pisarz, jak Stefan Żeromski był w gimnazjum dwukrotnie repetyentem i nie zdał matury. Jako samouk zdobył dopiero wszechstronne wykształcenie.

Jeśli porównać przeżycia szkolne rozmaitych pisarzy, to okaże się, że różnią się one trochę od siebie. Bolesław Prus lubił np. matematykę, interesowały go dyscypliny przyrodnicze, elektrotechnika i statyka. W większości wypadków upodobania humanistyczne nie idą jednak w parze z umiłowaniami nauk ścisłych.

Spójrzmy bardziej wnikliwie w „kraj lat dziecińczych” współczesnych polskich pisarzy — tych, którzy tworzą dziś — oraz tych, którzy nie tak dawno jeszcze żyli. Pisarze

dziela się nieraz wspomnieniami z tego okresu; poniżej cytelnik będzie mógł zapoznać się z niektórymi charakterystycznymi wypowiedziami.

Na początku głos zabierze najznakomitsza współczesna pisarka polska, autorka „Dni i nocy” — Maria Dąbrowska. Z wypowiedzi jej wynika jasno, jak wielkie znaczenie w kształtowaniu psychiki dziecka ma obcowanie ze sztukami pięknymi.

— W szkole średniej — mówi Maria Dąbrowska — uczyłam się celując ze wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem arytmetyki i kaligrafii. Nauka była dla mnie czymś w rodzaju sportu i przyjemności, sposobem wyładowania energii... Do klasy czwartej wszystkie przedmioty, których się uczyłam, interesowały mnie z jednaką siłą i jednaką chęcią ich opanowania. Od klasy czwartej bardziej niż innymi przedmiotami interesowałam się naukami przyrodniczymi, zwłaszcza geologią i biologią. Poza przedmiotami szkolnymi w niższych klasach najmnie interesowały mnie szumnie mówiąc „sztuki plastyczne” — jakkolwiek obcowanie z nimi było więcej niż ubogie... W klasach wyż-

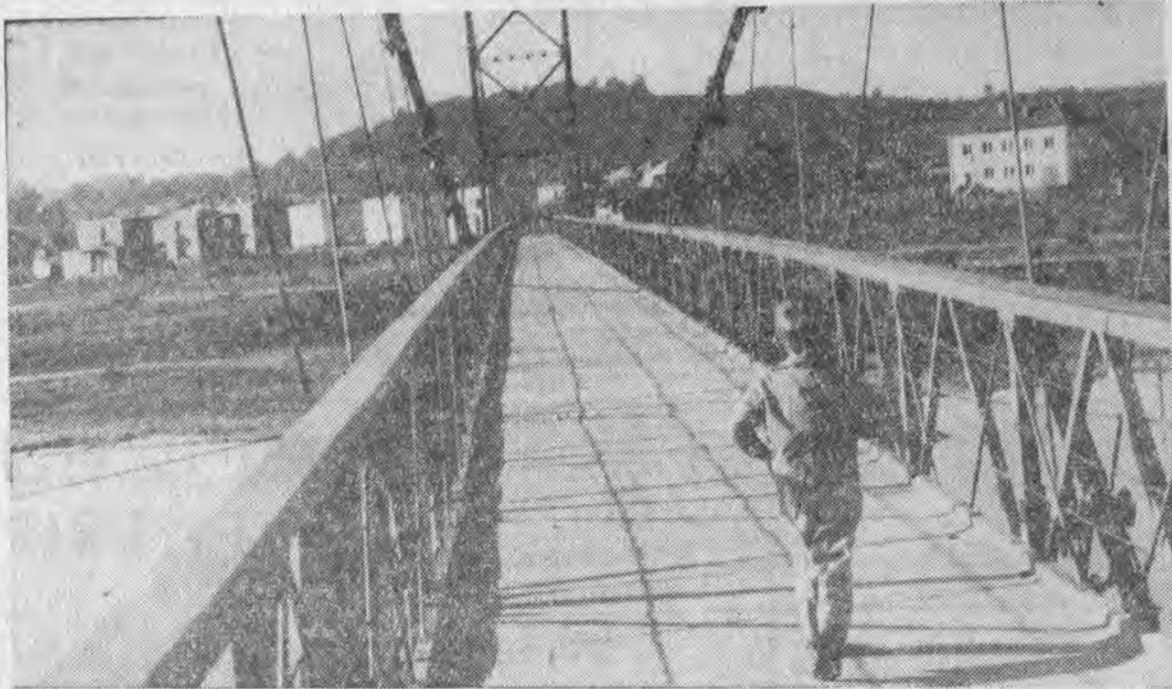
szych poza szkołą interesowały mnie sprawy społeczne: rewolucja, strajki, PPS, Bebel. Malarstwo stanowiło jednak nadal przedmiot mojego uwielbienia, które objawiało się w pospolitym zresztą w tym czasie skupianiu pocztówek i lanych reprodukcji oraz chodzeniu na wystawy...

Wiele uczuć i czasu kosztowała mnie miłość do pieśni ludowych, prawdziwie nieszczęśliwa, gdyż nie znając się na muzyce zbierałam owe pieśni i zapisywałam je w sposób wysoce niedołężny. Muzyka w ogóle oszalała na mnie w każdej postaci od katarynki, przez orkiestrę Namysłowskiego, do opery i koncertu symfonicznego włącznie. Nie rozumiałam jej i poddawałam się czarowi wszelkich tonów w sposób zupełnie barbarzyński. Moje zainteresowanie literaturą było zawsze połączone z chęcią własnej twórczości... Z literatury polskiej — pożerałam wielkich romantyków. Rozkoszny zamek wywołały we mnie utwory Żeromskiego i „Wesele” Wyspiańskiego. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym ktoś przyniósł z Krakowa pocztówkę z przedsta-

(Ciąg dalszy na str. 2)



Fot.: JÓZEF LIGEZA



Fot.: MICHAŁ KOPEĆ

ANDRZEJ ZABIEROWSKI

OKNO

Widzę okno
mieszkania rodziny.
Zapalają dzień wcześniej.
Cały czas dbają
by nie zgasił
podsycając zmęczeniem.
Gdy nadchodzi pora
zaczynają go
lagodnie gasić.
Nie zasłaniają się
Widzę jak wchodzi
w przestrzeń
by nazajutrz
znow zapalać go
od nowa.

„Albo życie dorosłych — na marginesie życia dziecięcego. Albo życie dzieci na marginesie życia dorosłych. Kiedy nadejdzie owa szczerza chwila, gdy życie dorosłych i dzieci stanowiąc będzie równoważny tekst.

Wychowanie dziecka, to nie miła zabawa, lecz zadanie, w które trzeba włożyć wysiłek bezsen-nych nocy, kapitał wielkich prze-żyć i wiele myśli.

(Janusz Korczak)

być może, tak nawet bywa, ale wte- dy matka obarczona obowiązkiem przekraczającymi siły jednego człowieka (praca zawodowa, dom, dziecko, czasem kilkoro) rzadko zbliża się do ideału wykoncypowa- nego przez pedagogów.

Wątpliwości moje powiększyły się, kiedy w związku z toczącą się na łamach „Widnokręgu” dyskusja o przedszkolach, postanowiłem poznać przyczyny sporu i, powiedz- my od razu, wielu nieporozumień

ki. Najpierw wyzłaskowała się mama, za chwilę przyszedł ojciec i natarł z siłą godną większej spra- wy, że niby to jest karygodne, że niedbalstwo i zła wola, że on muś- z tym skończyć i nauczyć kogo trzeba mądrości. Ktoś inny miał pre- tensję, że wyprowadza się dzieci na taras i wracają stamtąd brudne poprskane błotem. Matka, do któ- rej wychowawczynie pisała o nie najlepszym sprawowaniu się syna i prosiła o bliższy kontakt z przed-

zaprezentują swoje umiejętności mamom. Nie wszystkie jednak przysły odświętne ubrane. — Ma- musia mówić, że nie będzie szy- kować specjalnej sukienki, pani ma pieniądze, to niech kupi sama. To są drobiazgi, które pokazują, jak mimo woli bagatelizuje się słowa wychowawczyń, podważa jej auto- rytet u dziecka, jak kształtuje się ujemne nawyki u małego wrażliwe- go i chłonnego człowieka.

W marcowym numerze miesięcz-

wiedza dom rodzinny dziecka. Mi- mo spóźnionej pory, ojca jeszcze nie ma. Pracuje? Skądże — mówi stroskana matka — na pewno sie- dzi w knajpie. Zaczyna się ciąg- łałowa i utyskiwa. Koniec rozmowy podsiuchał pijany władca tego piekła. Nauczycielka musiała ra- tować się ucieczką. Inny wypadek: Dziecko, które na wyrażne życzenie rodziców samo przychodziło i samo odchodziło z przedszkola, raz nie przyszło w ogóle. Po południu zjawił się ojciec. Okazało się, że chłopczyk cały dzień bawił się nad Wisłokiem, zgubił buta, i na oczach całej dzieciarni zgromadzonej na przedszkolnym podwórku miał do- stać lanie. Cios przyjął kierow- niczka, która stanęła w obronie malca. Minęła godzina czwarta po południu. Wszyscy rodzice zabrali już swoje pociechy. Zostało tylko jedno dziecko. Wieczorem kierow- niczka odprowadza je do domu. Są wszyscy, matka, ojciec, dwoje starszego rodzeństwa. Tłumaczenie? Żadne. Takich rodziców nie prze- konają zebrania — bo na nie nie chodzą, książki też nie wezmą do ręki. Jakże jest zatem wyjście? Wyda mi się, że w takich przy- padkach inni rodzice nie mogą stać na uboku, muszą interwenio- wać, podejmować rozmowy z tymi, którzy nie dorośli do pełnienia tak ważnej funkcji. Nie jest to wcale łatwe ani przyjemne, czasem nawet ryzykowne, ale istnieją przecież organizacje społeczne i zawodowe, istnieją zakłady pracy, poprzez któ- re można wpływać na nieodpowie- dzialnych ojców czy lekkomyślną matki. Stawianie pod przegięciem opinii publicznej z pewnością od- niesie pozytywne skutki. Trzeba tylko działać zbiegowo i rozsądnie.

Artykuł poświęciłem jednej spr- wie, stosunkowi domu rodziciel- skiego do przedszkola, przytoczy- łem przykłady negatywne, co nie oznacza, że pozytywnych nie ma, te pierwsze jednak dowodzą, że głów- nym źródłem niepowodzeń wych- owawczych, jakie przypisuje się czę- sto przedszkolu, są sami rodzice.

CZESŁAW KŁAK

Gdzie leży źródło niepowodzeń?

na temat pracy w tych placów- kach. Odwiedziłem więc kilka przedszkoli, rozmawiałem z wy- chowawczyniami i rodzicami.

Przed pierwszym września, pod- czas pracy społecznych komisji re- krutacyjnych drzwi od kancelarii się nie zamykają — mówią wszyst- kie kierowniczki. Przychodzą mat- ki, długo i szczegółowo opowia- dają o trudnych warunkach, w ja- kich się znajdują, przychodzą o- jcowie, nierzadko z pogroźkami, urywają się telefony, interwencjom nie ma końca. W rezultacie plan przewidujący przyjęcie 1360 dzieci do czternastu rzeszowskich przed- szkoli jest zawsze poważnie prze- kraczany. Skutki? Zamiast trzy- dziestu pięciu dzieci w grupie czterdziestu i więcej. Jedna wych- owawczyni opiekująca się taką gro- madą, nawet przy najlepszych chę- ciach i wysokich kwalifikacjach nie jest w stanie opanować wszystkich dzieci, zając się każdym oddziel- nie, pokierować nim tak, by wypełnił nie tylko swój obowiązek, ale za- dowolił wszystkich, nieraz prze- wrażliwionych rodziców. W szatni słyszałem głosy niezadowolenia. Byłem nawet świadkiem awantury. Trzyletnie dziewczynce przydarzy- ła się tragedia, pobrudziła rajtuz-

szkołem, zdobyła się tylko na stroniczkę impertynencji.

Na podstawie tych przygodnie zebranych opinii nie można fero- wać wyroku skazującego i twier- dzić, że dzieci uczęszczające do przedszkola mają złą opiekę i że niewiele dobrego stamtąd wyno- szą. Przekonałem się. Jest inaczej.

Zasadnicze trudności wynikają z braku współpracy między domem a przedszkolem. I jeśli miałbym użyć słowa „przechowalnia” na określenie tej instytucji wych- owawczej, to z zastrzeżeniem, że właśnie niektórzy rodzice robią wszystko (nie zawsze świadomie), by zachować adekwatność tego ter- minu. Kierownictwo przedszkola prosi rodziców o pomoc przy od- Źnieszaniu. Dzieci oddają kartki i gorliwie przypominają ojcom o społecznym obowiązku. Przychodzą, ale nie wszyscy. Nic w tym dziw- nego. Zastanawiają jedynie kome- tarze. Dziecko relacjonuje: tatuś nie przyszedł, bo on śniegu nie na- sywał i nie będzie odwał, może to robić pani, jak ma ochotę. Na Dzień Kobiet przedszkolaki wysta- piły ze starannie przygotowanym programem artystycznym. Pracowa- ły nad nim długo. Wszystko prze- żywały głęboko. Cieszyły się, że

nika „Rodzina i szkoła” przeczyta- łem takie zdanie: „Badania wyka- zują, że ludzie dorośli czytają dużo książek, lecz z analizy tematycznej dowiadujemy się, że problematyce wychowawczej poświęcają bardzo mało czasu lub w ogóle nie czyta- ją książek, które mogłyby im po- móc we właściwym wychowaniu dzieci”. To pewne. Dość powszech- nie bowiem panuje przekonanie, że wychowywania nie trzeba się uc-zyć, że umiejętność ta jest dzie- dztwem przechodzącym z poka- lenia na pokolenie, wobec czego wystarczy zatroszczyć się, by dziecko było nakarmione i ubrane, a nad resztą nie warto się nawet zasta- nawiać.

Podejmowana przez szkoły i przed- szkola próba pedagogizacji rodzi- ców może w tym zakresie dać pe- wne wyniki, może doprowadzić do powolnego przewartościowywania domowych systemów wychowaw- czych. Warunek. Świadomość nie- wiedzy i uciwłość. Niestety, obser- wacje wykazują, że najbardziej potrzebujący tej edukacji rodzice ignorują to wszystko, czego dla do- bra dzieci domagają się od nich nauczyciele i wychowawcy. Kilka przykładów: Wychowawczyni od-

BEZGRZESZNE LATA PISARZY

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wieniem „Wesela”, oglądano je wśród słońca w pensjonarskiej ja- dalni...

A teraz fragmenty wspomnień Zofii Nałkowskiej, która była córką słynnego uczonego i zaczęła dru- kować swoje utwory już w wieku szkolnym.

„...uczyłam się dobrze i skończy- łam jako pierwsza uczennica. Ale nad niektórymi przedmiotami mu- siałam naprawdę pracować. Naj- trudniejsza była algebra. We wczes- nym dzieciństwie każdą gazetę na- zywaliśmy „geografią”, uważając za naturalne, żeby w domu było ksią- żek więcej niż czegokolwiek inne- go. Później te książki, pełne wła- śnie geografii, nie interesowały mnie wcale.

Nierówna a efektorowa moja wie- dza — stwierdza Nałkowska — zgo- towała mi w szkole wiele trium- fów i nieco rozczarowań, zwłaszcza w dziedzinie różnych gramatyk... Niestety, szkolna nauka literatury nie podlegała mi zupełnie... My- ślałam sobie nieraz, że powinni nas uczyć literatury współczesnej, o ty- le bardziej zajmującej, a starą mo- żemy sobie czytać później. I dziś u- ważam, że gust do rzeczy dojrz- łałych, archaicznych, do wszelkiej pa-

tyny i piękności wiecznych, przy- chodzi z wiekiem”.

Jak się obserwuje dzisiejszych uczniów, to również odnosi się wra- żenie, że o wiele więcej pasjonują ich rzeczy współczesne, aniżeli hi- storia.

Z kolei zapoznajmy się z wypo- wiedzią Juliana Tuwima, który szkole poświęcił jedno z najpięk- niejszych swoich wierszy.

„...Piekłem i zgrozą moich lat uczniowskich — pisał Tuwim — by- ła matematyka, poczynając od skro- mnej arytmetyki, kończąc na stra- szliwej trygonometrii. Na egzami- nie maturalnym dyktował mi roz- wiązańkę śledzący ze mną kolega w sposób bardzo ciekawy, mianowicie graficzny: — Napisz alfa. — Gdzie? Na górze. — Zrób kreskę. — Gdzie? — Z boku. Teraz napisz dwa pi er do kwadratu. — Koło kreski? — Tak. Teraz to podkreśl. — Już... — Pod tym napisz trochę na prawo znak mnożenia — itd.

„...Interesowałem się wyłącznie chemią i naukami przyrodniczymi, ale jakoś po szarłatowaniu, niepo- ważnie. Miałem w domu „labora- torium”, w którym wycofanie dość dziwne, jak na młode lata, rzeczy. Kupowałem w składzie ap- teczny najrozmaitsze proszki,

kwasy, olejki, mieszałem to, grza- łem, pitrasilem jakieś nieprawdopo- dobne świstwa — nie wiadomo po- co. W skrytości marzyłem o doko- naniu jakiegoś wiekopomnego wy- nalazku... Rezultat był tylko raz: wybuch metalowej rurki, napchanej „calichlorium” i nagrzewaną nad świecą. Poparzyłem sobie rękę w straszliwy sposób. Hodowałem wę- że i jaszczurki. Studiowałem „ma- gie” z książeczki o „Bosco — czarno- księżniku”. Potem byłem pirotech- nikiem. Zbierałem rośliny lekar- skie... Poezję gardziłem. Ale dwóch poetów zawsze kochałem szalenie: Mickiewicza i Gogola. Nawet w o- kresie najzaciętszych eksperymen- tów chemicznych czytałem bezus- tannie „Dziady” i „Martoe dusze”. Wiersze zacząłem pisać mając lat siedemnaście, kiedy przypadkowo przeczytałem „Wybór poezji” Staffa...”

Po Marci Dąbrowskiej Julian Tu- wim podkreśla, że dla ucznia wni- kanie w tajniki przyrody ma istot- ne znaczenie.

Można się też nie uczyć i umieć — tak w każdym razie wynika ze słów Jarosława Iwaszkiewicza, o- becnego prezesa Zarządu Głównego ZLP. Cytat pochodzi z jednego ze starych numerów „Wiadomości Li- terackich”.

„Uczyłem się świetnie, ale leni- stwo moje doprowadzone było do rozmiarów nieprawdopodobnych. Cały czas pozaszkolny zajmowały kich samych obłąkańców czynili-

mi do późnego wieczora korepety- cje i lekcje muzyki, którymi zara- białem na chleb. Toteż nie uczyłem się nigdy... Nigdy nie myślałem o karierze literackiej. Zawsze mi przyświecała gwiazda zostania wiel- kim muzykiem”.

Dla młodzieży szkolnej szczegó- nie ciekawe będą wspomnienia Kor- nela Makuszyńskiego. Autor wielu książek dla młodzieży, spośród któ- rych „Awanturna o Basie” i „O dwóch takich, co ukradli księżyc” zostały sfilmowane — tak oto opi- suje swoje „bezgrzeszne lata”:

„Należałem do takich pożera- ców książek, że do dziś podziw- mie bierze, w jaki sposób zdoła- łem zachować resztki rozsądku, u- mieściwszy w ciasnym łbie niepoli- czone tomy z całym Szekspirem na czele? Wobec czego „kuty” w li- teraturze na cztery nogi (tyle bowiem nóg ma mniej więcej młodziak w gimnazjum) otoczony byłem potęż- ną protekcją profesorów literatury, łaciny, greki. Zwycięstwo tych ludzi szlachetnych nad ciemnymi potęga- mi od nauk ścisłych było oczywi- ste, tak że wreszcie ciemne owe de- mony machały na mnie ręką, w du- szy jedynie się radując, że skończy- ły...”

Mając za tę cenę zapewniony spokój, uprawiałem w szkole śred- niej literaturę jawnie. Opisałem to zresztą niezdarne w „Bezgrzesz- nych latach”. Ja i kilku innych ta- kich samych obłąkańców czynili-

my to ze ślicznym zapalem: godzi- ny długie w szkole poświęcałyśmy z naszym najmiłszym prof. Grzegorz- wiczem roztrząsaniu „Wesela”. Ze- romski ciskał w gromadkę naszą plonącą zagiew. Zdając egzamin dojrzałości już byłem zdecydowany, co uczynię. Zamknąłem oczy i sko- czyłem na lew — w literaturę”.

Nie można mieć pretensji do uc- nia, jeśli poza programem szkol- nym poświęca czas jeszcze na zaję- cia, które mu specjalnie odpowia- dają. Jak widać, daje to czasem dobre wyniki.

Dowcipnie odpowiedział kiedyś Boy-Zeleński na pytanie, jak się uczył w szkole średniej. Odpowiedź brzmiała:

„Nierównomiernie”. — Czyż za- mował się poza nauką? — „Grą w bilard”. — Jaki był jego stosunek do literatury? — „Głupawy”.

Jeszcze więcej humoru zawiera wypowiedź Antoniego Słonimskiego znakomitego poety i pisarza współ- czesnego. Jest tak ciekła, jak jego cotygodniowy felieton w „Szpilekach” pt. „Zalatwione odmownie”.

„Na pytanie, jak się uczyłem w szkole średniej — pisze Słonimski — odpowiedzieć muszę, że uczyłem się dobrze, ale przeważnie rzeczy nie objęte szkolnym programem. Już w klasie pierwszej nauczyłem się pluć przez zęby, gwiżdżeć na dwóch palcach i podstawić nogę. W drugiej klasie umiałem puszczać dym nosem i grać w „Jukao”. W

PO DRUGIEJ STRONIE BIAŁYCH DRZWI

(Ciąg dalszy ze str. 1)

starannie analizuje wyniki badań, że wraca do nich nawet po powrocie do domu, a diagnozy przez niego wydane, jak dotychczas były bezbłędne.

Powie ktoś: nie przesadzajmy. Nie zawsze pod pozorną obojętnością kryje się serdeczna troska i dbałość o pacjenta. Często jest to rzeczywistość zwykła gburowość, niechęć i lekceważenie chorego powodujące karygodne zaniedbania w leczeniu. To prawda. Są takie wypadki. Są nawet gorsze — nadużywanie praw związanych z tytułem lekarza, a nawet wykorzystywanie ich do celów zgola przestępczych. Zaledwie tydzień temu pęknęło na tych łamach postępowanie pewnego lekarza przemyskiego, który dołożył ręki do brudnej, wstępnego sprawy. O tej i wielu podobnych historiach pisze się, a zwłaszcza mówi wiele. One często wpływają na kształtowanie się opinii o całym środowisku lekarskim, a przecież nie można go oceniać tylko na podstawie postępowania jednostek. Poza tym z pamięcią się długo, o dobrym natomiast mówi się niewiele.

Kto z nas bowiem słyszał o chirurgach, którzy podczas niedawnych klęsk huraganów brali na siebie odpowiedzialność przeprowadzenia operacji w prymitywnych warunkach, przy braku zwykłych świateł i ratowali życie ludzi? Kto pisał o lekarzach brnących po śniegu i błocie dla niesienia pomocy mieszkańcom wioski zagrożonych tegoroczną powodzią? Podnieć pomoc ta była bezpłatna. Lecz w walii hurtem do punktów przyjęć. Zdarzało się jednak, że ich wdzięczność polegała na tym, iż lekarz nie mógł kupić żywności na kolację, a nocować musiał w izbach szkolnych na stołach czy tablicach. Nazajutrz nie mógł doprosić się o furankę, i pieszko wędrował do następnej wsi.

Niedawno w jednym z gabinetów zabiegowych zdarzył się wypadek. Biorąc już kiedyś zastrzyki z antybiotyków, chora, której lekarz nie nakazywał już dokonywania próby na uczulenie, po wstrzyknięciu penicyliny dostała zapadki i była bliska śmierci. Pielęgniarka krzyknęła, by ktoś pobiegł po lekarza, a jednocześnie chwyciła za szzybkawkę. Po chwili igła dotarła do serca kobiety, wprowadzając tam adrenalinę. Gdy po kilku minutach przesyłał lekarz, chora była już uratowana. Pielęgniarkę nie wolno było da-

wać tego zastrzyku. Przypisy pozwalają na jego wykonanie tylko lekarzowi. A jednak siostra zaryzykowała, wzięła na siebie odpowiedzialność. Decydowały przecież sekundy.

To jest właśnie druga strona medalu, to co codziennie dokonuje się za białymi drzwiami, o czym dowiadujemy się rzadko, a chorzy najczęściej wcale.

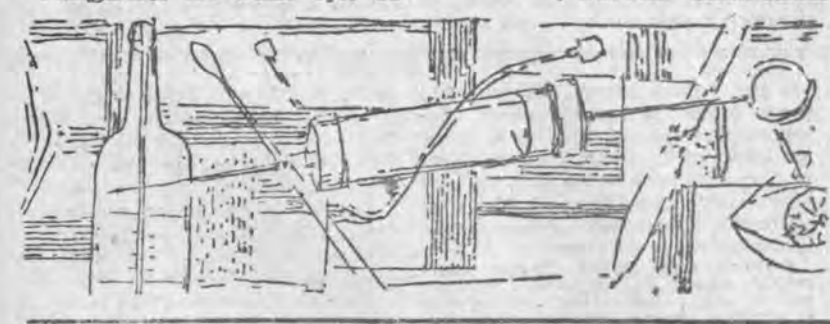
Szpital. Ktoś gdzieś biegnie z buteleczką zakonserwowanej krwi. Ktoś przynosi na wózek chorego. Ktoś przygotowuje aparaturę i instrumenty, podczas gdy dyżurny chirurg wdycha ostatni papierosowy dymek. Za chwilę rozpocznie zmagania o zdrowie czy życie człowieka, zmagania, których ani on, ani żaden z jego kolegów nie traktuje obojętnie.

Klęskę w tej walce lekarz przeżywa mocno, czasem dłużej niż krewni i rodzina chorego. A jakże często staje jeszcze bezsilny przed chorobą, na której zwalczanie ani on, ani cała współczesna medycyna nie ma środków? Traktuje to jako osobistą porażkę i mimo świadomości, że nie pomóc nie może, szuka ciągle możliwości i leków, które przedłużyłyby życie skazanego pacjenta czy choćby ułożyły mu w jego cierpieniach. Często musi być wówczas aktorem, wbrew sobie samemu pocieszać i przekonywać chorych, nosząc w sobie ich groźną tajemnicę. Różne niespodzianki, jakich nie szczędzi mu jego profesja rodzi w nim to bunt, to rozpacz, to zwątpienie, którymi nie może się z nikim podzielić i którym nie wolno mu się poddać.

Są ludzie przekonani, że zawód lekarza — to wygodny i rentowny zawód. Tych chciałbym zapewnić, że liczne ostatnio wypadki zawałów serca wśród lekarzy z pewnością nie zostały spowodowane oglądaniem amerykańskich filmów o dzikim Zachodzie. Gdy zaś mowa o pieniądzu, to daje słowo: za trzykrotnie większe wynagrodzenie nie chciałbym brać na siebie odpowiedzialności, jaką dźwiga lekarz i wykonywać jego — często fizycznie nawet ciężkiej — pracy.

Dlatego nie obwiniamy wszystkich o to, co robią wyjątki. Dlatego spójrzmy trochę inaczej na białe drzwi przychodni. A jeśli spotkamy lekarza, z którym los nas kiedyś zetknął, nie chowajmy głowy w kołnier lub nie uciekajmy na drugą stronę ulicy. Przecież wcześniej czy później znów do niego przyjdziemy.

WITOLD SZYMCHYK



ogóle z krótkiego pobytu w szkole średniej wyniosłem doskonałą znajomość psychologii ludzkiej, wielką wprawę w oszukiwaniu nauczycieli oraz potężną pomysłowość i oszalałą inwencję w kłamstwach. Z wiadomości ścisłych nie prawie nie zostało mi w pamięci. Jedynym bodaj faktem, który udało mi się spamiętać jest adres szkoły i numer telefonu kancelarii...

Stosunek mój do literatury był bardzo sumienny i uczciwy. Począwszy od klasy drugiej czytywałem systematycznie książki wypożyczone z Biblioteki Publicznej. Powodowany absolutną bezstronnością, studiowałem dzieła w porządku alfabetycznym, jak podane były w katalogu czytelnika. Pierwszą książką było dzieło p. „A. B.” pt. „Bazyli i Zofia”, potem zaznajomiłem się z pracą p. Adamusa „Wyzwolenie kobiety”, następnie przeczytałem „Dziwice skal” d'Annunzia, „Anatemę” Andrejewa i „Pieśni uwodźciciela” Bezimiennego. Przy dziele C. Bernharda pt. „Himmelsche und irdische Liebe” zatrzymałem się nieco dłużej, zupełna bowiem nieznajomość języka niemieckiego przedłużyła znacznie proces czytania. Następnie poznałem książkę Boya „Stółka”, która wydała mi się równie niezrozumiała jak dzieło poprzednie...

I na koniec wspomnienia Emila Zegadłowicza, autora wzruszającej książki o dzieciństwie pt. „Usmiech”. Człowieka, który w wieku

późniejszym odznaczał się wielką indywidualnością.

„Czym się specjalnie interesowałem? W „niższym” gimnazjum (do klasy IV) na wiosnę — plikiem (gra inaczej pliszka zwana, polegająca na wyrzucaniu z „dółki” kijka krótkiego, na podbijaniu go kijem dłuższym), w lecie — kapielą, w jesieni — owoco- a zwłaszcza orzechobranie, w zimie „Duchem puszcy”, „Kwiatem preri”, wszystkimi robinsonadami oraz podrózkami Gullivera. Marzyłem o ucieczce do Afryki. W klasie czwartej nastąpił przełom: przeczytałem „Trylogię” i nie chciałem wierzyć, że to była „nieprawda”, wymysł autora, nie-możliwe!! O prawdziwe realnych istnieć bohaterów staczałem walki na pięści, paznokcie i zęby. W rezultacie (dziwne jakieś skojarzenie — niedocieczono) w roku tym zapragnąłem zostać księdzem — konieczność w Ameryce. W gimnazjum wyższym (klasa piąta — ósma) popadłem w ciężkie perypetie zagadnień religijnych i społecznych, stałem się ateistą i socjalistą. Urok tajemnych stowarzyszeń rewolucyjnych, zrywanie z przesądami — wszystko to podkreślone poczuciem wyższości, antypatią nienawistną do „budry”, jako najbliższego wyrazu „przerzniętych” urzędów społecznych, pogarda dla kolegów „mamin synków”, do kulturowości i wszelkiego filisterstwa — oto treść tych lat...

Zaczęłem od powieści; jeszcze w

PRZED kilku tygodniami wyszła z druku książka p. t. „Biecz — studia historyczne”, wydane przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie. Dzieło zostało opracowane — jak głosi dedykacja na karcie przedtytułowej — „dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego”. Jest to praca zbiorowa, zawierająca 18 rozpraw z zakresu toponomastyki, archeologii, historii politycznej i gospodarczej, historii obyczajów, literatury, medycyny, architektury i sztuki. Wśród wydawnictw „regionalnych”, związanych z obchodem wielkiego jubileuszu narodowego, książka biececka, zajęta z całą pewnością wyróżniającą miejsce w skali ogólnokrajowej.

Koncepcję książki wyłożył w „Słowie wstępnym” Roman Kaleta osadzając imponujący dorobek naukowy całego zespołu autorów na tle istniejącego stanu badań, uzasadniając dobór tematyczny poszczególnych rozpraw pod kątem monograficznego ujęcia dziejów omawianego miasta i regionu oraz wytyczając perspektywę dalszych dociekań historycznych nad dziejami Biecka.

Serię rozpraw o charakterze specjalistycznym poprzedził interesującym artykułem o miłośnikach i badaczach przeszłości Biecka Franciszek Błoński. Wyliczył on historyków, historyków sztuki, malarzy, literatów, zbieraczy pamiątek, publicystów i przyrodników „dziełopisów”, którzy miejscem urodzenia, pracą lub zainteresowaniami włączyli się z Bieczem począwszy od czasów Długosza aż po lata współczesne piszącemu.

Językoznawca wrocławski, Franciszek Nieckula, ogłosił w książce artykuł o pochodzeniu i znaczeniu nazwy miasta dowodząc na podstawie skrupulatnej analizy najstarszych świadectw pisanych i drukowanych, że Biecz jest nazwą osobową dzierżawczą utworzoną w czasach najwcześniejszego średniowiecza od imienia Bielek, którego podstawą słowotwórczą było najprawdopodobniej imię Benedykt.

Biecz posiadał jednak dużo starsze dzieje od jego aktualnej nazwy. Na terenie dzisiejszego miasta i w jego okolicach żyli ludzie już przed kilkoma tysiącami lat. Przekonują nas o tym badania archeologiczne, na podstawie których Andrzej Zaki podjął w tomie próbę nakreślenia — syntetycznej zamierzonej — przeszłości Biecka i późniejszej jego „ziemi” aż do czasów historycznych. Wywody wybitnego badacza krakowskiego wspiera, miejscami polemizując, młody historyk rzeszowski, Antoni Kunysz, w artykule „Przyczynki archeologiczne do najdawniejszych dziejów Biecka”.

Dzieje nowsze ziemi bieckiej i przede wszystkim samego miasta w rozmaitych aspektach zostały omówione w kolejnych rozprawach: Romana Kalety („Zamek w Bieczu”), Adama Kłodzińskiego („Biecz na przełomie XIII—XIV wieku”) oraz Józefa Baruta („Dawna ziemia biecka i jej stolica”) oraz „Baszta radecka w Bieczu”. Najwięcej miejsca w bieckiej księdze zajmuje świetny traktat monograficzny p. r. Stefana Walczego i Stanisława Zakubskiego o ratuszu i wieży ratuszowej. Na podstawie szczegółowych pomiarów zachowanej bryły tego znakomitego zabytku architektury polskiego renesansu oraz wyszperanych w archiwach zapisków w bieckich księgach miej-

skich i grodzkich autorzy ustalili czas powstania gmachu, odtworzyli proces budowy, odkryli jej mistrzów i fundatorów, skonstruowali wartość stylową ratusza i wieży z innymi zabytkami podobnego typu w kraju i za granicą, zrekonstruowali prawdopodobne alternatywy szesnastowiecznej sylwetki siedziby władz miejskich, prześledzili wreszcie późniejsze przeróbki aż po czasy najnowsze. Starali się przy tym określić użytkowy charakter budowy i pokazać pulsujące ognie w ratuszu pracowite i huczne życie. O dawnym mieszczaństwie bieckim zamieścił w tomie bardzo cenne studium Tadeusz Sławski. Wymienione rozprawy pozwalają na zaszerzowanie starego Biecka do rzędu największych ognisk i najpiękniejszych miast Małopolski, podkreślając jego ważne położenie strategiczne, zwłaszcza w sytemie obronnym państwa Piastów, handlowe, administracyjne i społeczno-gospodarcze. Zachowały się w Bieczu do dnia dzisiejszego cenne dzieła sztuki.

JÓZEF SZCZEPANIEC KSIĘGA BIECKA

Historyk malarstwa zwraca przede wszystkim baczną uwagę na znakomity obraz dużych wymiarów w głównym ołtarzu fary bieckiej. Jest to „Opłakiwanie Chrystusa”. Powstał we Włoszech w połowie XVI w. w bezpośrednim kręgu oddziaływania artystycznego genialnego rzeźbiarza — Michała Anioła. Przywiózł go z Rzymu i ofiarował kościołowi bieckiemu jeden z magnatów polskich. Bardzo wnikliwe studium poświęcił temu zabytkowi znany historyk sztuki Adam Bohnak. Niemniej interesujące są również zabytkowe sprzęty kościoła parafialnego w Bieczu, o których pisze Marian Rehorowski. Składają się na nie gotyckie, renesansowe i późnorenesansowe stalle, gotycki świecznik, renesansowe ławy, spiżowa chrzcielnica z 1459 r., średniowieczne rzeźby, gotyckie drzwi czy niezwykle ozdobny pulpit muzyczny z 1633 r. Świadczą one chlubnie o wysokim poziomie miejscowego rzemiosła, a także o ambicjach i guście artystycznym mieszczaństwa bieckiego.

Z artykułu S. Sapieżyńskiego dowiadujemy się, że Biecz miał swoją piękną kartę również w historii medycyny. Już pod koniec XIV w. istniał tu szpital, którym opiekowali się później królowie. Specjalną jednak uwagę poświęca autor analizie inwentarza biblioteki i sprzętu należącego do rodziny aptekarskiej Barlańów Rokickich. Okazuje się, że Barlańowie śledzili skrupulatnie postępy wiedzy medycznej, studiowali literaturę piękną polskiego renesansu i włączyli się aktywnie z ruchem arialskim Podgórze.

Prawdą plagą ziemi bieckiej — obok klęsk żywiołowych, najazdów, wojen — byli beskidnicy, a

więc zbójnicy, którzy napadali na kupców, okoliczne dwory i chaty wiejskie łupiąc je z dobytku. Pojawiali się oni tutaj już za panowania Piastów, chociaż pierwsze o nich wzmianki historyczne pochodzą dopiero z początków XV w. Aktywność ich narastała szczególnie w okresie wzmoczonego ucisku feudalnego w XVI i XVII w. Stawali się oni wtedy ramię zbrojnym chłopstwa powstającego przeciwko tyranii szlacheckiej. Dzieje zbójnictwa nakreślił T. Sławski w oparciu o rozległą, przeważnie rękopiśmienną dokumentację źródłową.

Ziemia biecka wydała wielu wybitnych ludzi zasłużonych dla narodu i jego kultury. Do najgłośniejszych należał Marcin Kromer, znakomity dziejopis i publicysta z XVI w. Osiągnął sławę i doświadczenia duchowe, przecież pozostał wierny Bieczowi, gdzie się urodził. Rajcy miejscy często odwoływali się do jego protekcji na dworze królewskim w sprawach ulg podatkowych, a pozostali w Bieczu bratem Bartłomiejem, pijaczyną i utraciwszy opiekę, się z dużym oddaniem. O tych intymnych w pewnym sensie szczegółach biografii sławnego bieczanina dowiadujemy się z erudycyjnego studium Teresy Kruszwskiej-Michalowskiej, opartego na korespondencji Kromera, w większości dotychczas nieznanej i ogłoszonej tutaj po raz pierwszy.

Z regionem bieckim związany był także silnymi więzami Wacław Potocki, najwybitniejszy poeta XVII stulecia. W Bieczu pełnił on funkcję podstarościego i siedziby grodzkiego, wcześniej uczestniczył w postępowym ruchu arialskim, którego ośrodkiem była jego posiadłość Łużna, położona niedaleko Biecka. Co najważniejsze jednak — autor „Wojny chocimskiej” wprowadził do swej obfitej twórczości literackiej krajoznawstwo, obyczaje, konflikty społeczne, a nawet język rodzinnych stron. O związkach Potockiego z Bieczem pisze w książce wybitny znawca i wydawca jego twórczości Jan Dür-Durski oraz Jan Zarembo.

Tom zamyka artykuł Romana Kalety pod sensacyjnym tytułem „Ponury dokument upadku miasta Biecka”. Autor zastanawia się tutaj nad przyczynami zmlęczenia świetności Biecka i wysuwa tezę, że główny wpływ na spadek możliwości mieszkańców i ruinę architektoniczną miasta pod koniec XVII i na początku XVIII w. miała zmiana dróg handlowych, łączących niegdyś Polskę via Biecz z południowym sąsiadem. Mieszkańcie odcięci od głównego źródła dochodów nie mieli już siły, aby walczyć skutecznie z licznymi klęskami wojen i elementarnymi, takimi jak pożary i epidemie. Te ostatnie dały się Bieczowi szczególnie we znaki. Kaleta przytacza lustrację miasta, dokonaną komisynie po ustąpieniu „morowego powietrza” w 1721 r., z której wynika, że zaraza wygubiła prawie wszystkich mieszkańców. Miasto leżało już wtedy rozsypane w gruzach.

Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie, Biecz — studia historyczne. Pod redakcją Romana Kalety przy współpracy Franciszka Błońskiego. Wrocław 1961.



Fot.: A CZELNY

KORAL

SKOBEL

Kiedy wieczorem staniesz przed którąś z chałup w Pysznicy, Stalowa Wola w całej świetnej krasie masz jakby na ciebie spłynęła. Tylko San i 1 km paskudnej drożyny dzieli wieś od miasta. Wiosna i latem nie ma żadnego problemu, parę minut spacerowym krokiem po stożku, opadającym w stronę rzeki i siedząc w łódce. Gdy jednak pojawi się kura, nadrobić trzeba okólną drogą 20 km. Oczywiście autobusem lub ciężarówką.

W hucie, elektrowni itp. pracuje jedna lub nawet więcej osób prawie z każdego domu. A jest tych domów więcej niż 500. Jeden kółko drugiego, jakby nanizane na krętą strzałkę szosy. Owo ogromne zagęszczenie było przed blisko 12 laty przyczyną katastrofy. W październiku 1981 roku w przysiółku Olszowiec, dwóch chłopaków próbowało się zabawić w stodole zapalnikami. Ogień zniszczył 110, przeważnie drewnianych zabudowań, i dziś takie znajdziemy, choć nieliczne. Śladów pożaru oczywiście dawno już nie ma. Niczym feniks z popiołów wyrósł nowy, już murowane domy. Dorzuć, że brakłoby palców u rąk i nóg, żeby policzyć te tylko domy-wille, które przybywają wsi każdego roku.

Zamożni mieszkańcy Pysznicy dawno przestali się liczyć z piaskowymi zagłębieniami i niewielkimi schodkami, przypominającymi raczej ogródki działkowe. Są to już po prostu chłopy-robotnicy (co za okropny neologizm!) Wieczorami, kiedy się zjedzą u któregoś z sąsiadów, między jedną partycją „zechyńka” a drugą częścią słychać pogawki o nieznajomych dla nich „gniazdach obrobionych”, kooperacjach, niż jak posypało ziarno. Sami by się zdziwili, gdyby im ktoś powiedział, że są to nowe nawyki, ślady przewartościowań, które są udziałem setek tysięcy podobnych im ludzi. Zdziwiliby się i po części mieliby rację.

Bo mimo wszystko po pracy są w każdym domu mieszkańcy wsi, ewolucji przysiółków, z całym balastem problemów, które drażnią te wyzłozowane światła.

Główna była swego czasu historia z elektryfikacją. Cała wieś opodatkowana solidarnie, resztę środków miała dostarczyć wyprzedaż drzewa z gromadniczego lasu. Kiedy słup elektryczny stanął najpierw w centrum wsi, nikt się tym nie niepokoił. Ale potem rozbiło tam światło, a w przysiółkach nie. Nie protestowała gromadzka rada, ani też POK. Zawód mieszkańców przysiółka Olszowiec był okrutny, tym dotkliwszy, że i oni są współwłaścicielami gromadzkiego lasu. Jechał i rabał drzewo bez niczego. Taki krok wyprzedzał stateczniej, słusznie widząc tutaj prócz naruszenia przepisów niebezpieczeństwo awantur i bólek. Jakże miały miejsce w Bielniech na podobnym 110. Sklerowano sprawę do sądu, ale tam przebiegli mieszkańcy centrum tak pokierowali obrotem rzeczy, że nawet stał bywały sądów mogły im pozardzić. Olszowiec przegrał, zacięli żeby i jakoś doszli do światła elektrycznego własnym przemysłem.

Potem z centrum Pysznicy ponownie zaczęły płynąć do przysiółków tydzień usmiechu i słowa zachęty.

W środku wsi, tam gdzie zwykłe stoisko, pocztą i GS jaśnieją świętości murów okazały Dom Kultury. Działna budowa, z jeszcze dziwniejszymi przybudówkami, chyba wznoszona bez parafki powiatowego architekta. Pierwszy kamień i cegielkę położyła najruchliwsza organizacja we wsi — straż pożarna, co potem postarała się podkreślić lokując w przybytku kultury też remizę dla swych sikawek. W przykładowej

zgodzie zaczęto robotę, zwózka materiałów. Sprzeczki co do miejsca lokalizacji przycichły, położyli po sobie uszy rozgoryczeni z przysiółków, nie słychać było pyszałków z centrum. Bo przecież teraz chodziło o dotarcie z powiatu, a wobec swarowej wsi — słusznie dedukowano — PRN mogłoby okazać mniejszą hojność. Ku zdziwieniu olszowieckich mieszkańców z centrum zaczęli im się teraz nawet przypochlebiać. Podkreślali na każdym kroku, że przecież tak jedni, jak i drudzy pracują w tej samej hucie lub elektrowni itp., a na zabawach wiejskich organizowanych „pod kościołem” na rzecz budowy Domu Kultury zawsze zadziorni mieszkańcy centrum nie mówili sąsiadom z przysiółków nawet przykrego słowa.

Rosły więc mury budowli, powiat i województwo dokładały groza. Zafascynowani działacze z Niska nie posiadali się z satysfakcją, widząc jak wspólny czyn wytrzebił stare waśnie. Przykryto dachem przybytek. Na własną rękę zrobiono przybudówkę. A że w środku w dużym gmachu przez remizy zaplanowano tylko dwie duże sale, jedną wysokość na 3 metry — dopiero teraz „odkryli” ten szczegół powiatowi architekci.

Na pierwszej zabawie w nowym obiekcie wyszło na jaw, co kryło się za łagodnością tych z centrum. Wódka rozwiała języki. Zasiadł, że ten dom stał, przypisał oczywiście sobie, a mieszkańców z przysiółków nazwał po prostu drapieżnikami. Olszowieckim wręcz wyzwało od złodziei. Z trudem udało się tym ostatnim uniknąć pobić.

Teraz okazały gmach, do którego wykończenia potrzeba jeszcze dolożyć trochę groza, zieleń pustką.

Młodzi z Olszowca omijają te okolice, gdy zapadnie zmrok. Na telewizję wolą chodzić do sąsiedniego Kijowa. Przestali liczyć na przychylność dach w nowym Domu Kultury. Jeszcze parę miesięcy temu wynajęto w stanie surowym dom, organizowano zabawy, żeby zdobyć pieniądze na opłacenie czynszu i na dekoracje. Sportadzi kilka ławek prowizorem i postawili pod ścianami. Z Niska otrzymali jedne szachy i „chłczyńka”. Po powrocie z buty, z innych zakładów i instytucji młodzi i starsi z Olszowca schodzą się w tej podziwnej wieżowej chacie. Dziewczyna uczy się gotować. Dobrze i to, bo w przysiółku Podberek sale żyły kulturalne ogniki. Młodzi olszowiecy marzą o adapterze lub magnetofonie. Kiedy ostatnio chłopcy i dziewczęta spontanicznie zorganizowali koło ZMW, na kolejne ich zebranie przybył zastrzygowany niespodziewanie „partykularny” sekretarz KP PZPR, tow. Michał. Wysłuchał młodzieży pilnie, przyrzekł pomoc. Obiecał część sprzętu do nowej świetlicy przez GS. Skąd chłopcy się dowiedzieli, że jest na koncie przysiółka 4 tys. zł przeznaczonych na budowę zbiornika przeciwpożarowego. Summennie wykopał dół jak się patrzy — zaproponowali — tylko niech te 4 tys. zł wyda się na wyposażenie ich domu. Rozwiązanie przysięgło do gustu przedstawicieli władz. Niewielkie dwa pomieszczenia w niewykończonej chacie aż kilipali od stłoczonych uczestników zebrania. W najbliższym czasie świeżo powstały zespół artystyczny ma się zabrać do prób sztuki Moliera „Lekarz mimo woli”.

A w tym samym czasie w środku wsi w jednej z klas szkolnych odbywało się analogiczne zebranie młodych. Wybrało zarząd świeżo rodzącego się koła ZMW. Było to znacznie mniej obecnych niż w Olszowcu. A przede wszystkim mało się znalazło starszych, tych właśnie, którzy sprawili, że w jednej wsi istnieją dziś dwa koła ZMW.

W mijanym po drodze nowym Domu Kultury, zamkniętym na skobel i kłódka, mrok i pustka straszą z daleka...

ST. GALOS



HELENA PUCHNIEWSKA — AKTORKA

Rys. J. Steniewicz

Na wprost

Piosenki za złamany grosz

Tak się złożyło, że ostatnio często słuchałem muzyki rozrywkowej: do radio, oglądałem programy rozrywkowe w telewizji i przystąpiłem do nagrania na płytach przebojem polskiej piosenki. Ale już przestałem i to chyba na dłuższy czas. Nie można bowiem bezkarnie wchłaniać w siebie zbyt długiego nonsensu, grafomanii i złego smaku w takim stężeniu, w jakim występują one w większości dzisiejszych „arcydzieł” piosenkarstwa. No i nie można się także narażać na głuchość przez odbieranie takiej ilości decybeli krzyku, jaką wydają z siebie gwiazdy radia i estrady. Nie mam tu zamiaru wybrzydzać się na big-beat. „Mocno uderzenia” ma tytuł fanatycznych wyznawców i mecenasów, że po prostu brakłoby mi odwagi. Choćby podejrzewałem, że największymi patronami big-beatu są starsi oportunistyczni wujaszki i że uprawiają oni w stosunku do nas wszystkich swoisty szantaż. Strasz nas „Czerwono-Czarnymi”, „Niebiesko-Czarnymi”, „Zielono-Czarnymi” — fabrykują gwiazdy dziewczęte, których śpiew wywołuje furorę na imieninach u cioci, bo to rzekomo uwielbia atomowa młodzież, a oniż wujaszki też młodzieży się podlizują. Jeżeli ktoś

nie podziela ich entuzjazmu, to znaczy, że jest przeciw młodzieży, że jest niewspółczesny i nadaje się na złom.

Nie będę więc narażał się wujaszkom-cmokierom — sama młodzież poradzi sobie i z big-beatem i z jego patronami. Świadczy o tym piosenka w najnowszym programie STS-u zatytułowana odwołanie rycerzy spod tego znaku. Mój żywiołowy sprzeciw wywołuje poziom artystyczny tekstów wielu polskich piosenek.

Cóż to bowiem śpiewają polskie gwiazdki, gdy nie udają, że to po angielsku?

Violetta Villas zawodzi w piosence „Czarny Piotruś”: „Ach jaka byłam ślepa — on czarny jest jak rzepa...” (jak wiadomo rzepa ostatnio zmieniła kolor — ze wstyd). Albo niepokoi w grobie króla Salomona biblijnego śpiewając o nim z humorem, że miał trzysta żon, że to „arcywielki ideał nasz”, że „potknął się i bęc, leci na zbitą twarz” — miejscami nawet odnosi się do niego z niechęcią („niech go piorun trzaśnie”) itd...

Karin Stank w swoim super przeboju „Jimmy-Joe” krzyczy: „jak to imię twoje ciągle dręczy mnie i groźnie zapowiada — nie zdola

Zdarzenia tycodnia

Podtrzymując kontakty artystyczne nawiązane w ramach oświadczenia województw wschodnich, Rzeszowska Państwowa Orkiestra Symfoniczna koncertowała w piątek 29 bm. w Kielcach. Program występu wypełniło wykonanie przez orkiestrę, chór i solistów IX Symfonii Ludwika van Beethovena. Koncert prowadził dyrygent Janusz Ambros.

Zespół teatralny działający przy Świećnicy PZGS w Jasle wystąpił ostatnio z premierą sztuki Izabeli Łęczyckiej o tematyce współczesnej pt. „Dramat Joli”. Sztuka ta, w reżyserii Anny Matuzewskiej została przyjęta bardzo przychylnie przez mieszkańców Jasła. Zespół teatralny PZGS zamierza odwiedzić z „Dramatem Joli” kilka miejscowości naszego województwa. Zamierza także, że część dochodu z przedstawienia premierowego przeznaczyć na budowę Młodzieżowego Domu Oświaty ZMW w Zalesiu.

Z okazji Tysiąclecia Państwa i XX rocznicy powstania PRL ogłoszony został Ogólnopolski Festiwal Teatrów Amatorskich. W związku z tym Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych z Oddziałem Wojewódzkim Związku Teatrów Amatorskich w Rzeszowie zwróciła się z apelem do działaczy i zespołów związkowych o otoczenie opieką zespołów teatralnych, działających we wsiach, spółdzielniach produkcyjnych i państwowych gospodarstwach rolnych. Na apel odpowiadają już pierwsze zespoły związkowe.

ogień ani miecz powstrzymać myśli moich w biegu” (biedactwo — skąd u niej te myśli — gdyby były, wiedziałaby, że to zerżnięte z Asmyka). I dalej... „nie szukaj żadnych gwiazd na niebie i pomyśl o mnie albo nie”...

Niemniej błyskotliwe teksty wykrzykuje w swoim repertuarze Pan Wyrok czy Helena Majdaniec. Powie ktoś, że to nie ich wina — nie oni są autorami słów swoich piosenek. Wydaje mi się jednak, że szanujący się piosenkarz sam tworzy sobie repertuar i nie będzie śpiewał irytujących bzdur.

I niech mi nikt nie tłumaczy, że oni uprawiają komercyjny rodzaj piosenki, od którego nie trzeba wymagać wartości artystycznych i literackich. Trzeba, tak jak w boksie żądać, by nie były mocnymi uderzeniami — nierz pisa, bo to nie fair zarabiać na takim wybrakowanym towarze. A do Polskiego Radia, Telewizji i Polskich Nagrań proszę: — więcej Stawij Przybylskiej! Irenej Santor, Hanny Rek, Marii Koterskiej, Kaliny Jedrusik, więcej Michnikowskiego i piosenek z Karetu Starszych Panów, więcej Barbary Muszyńskiej, bo na szczęście dla nas jeszcze oni śpiewają dobrze, dobre piosenki. Mniej „Malowanych lał”, „Czarnych Piotrusów”, „Królów Salomonów”, starych zegarów z mądrą miną, hiszpańskiego z Pińczowa i angielszczyzny z Kolomyi.

Jotgiel

Bitwa o Przełęcz Dukielską (IV)

POD KOBYLANAMI

Kiedy żołnierze wyprowadzili kozę z obory, gospodarz, stary chłop z potężnym wąsem uderzył w lament.

— Panowie, co wam z tego bydlatka przyjdzie?! Chude to, małe i mięso niewiele warte. Wzielibyście inne, jaką krowinę, to można by głód zaspokoić, ale co to za jado z kozy! Panowie! Zostawcie mi ją, proszę was.

Podechodzili do nich i wyciągał „nieśmiało” ręce, nie wiedząc, jak przemówić do tych ludzi. Jeszcze niedawno spał w jego domu, jedli jego chleb, pili mleko, którym szczerze częstował wszystkich, a teraz zabierają mu ostatni dobytek, jedyne co zostało z żywego inwentarza.

Żołnierze jednak nie myśleli zabijać zwierzęcia, przeciwnie, wsuwali mu do pyska chleb, gładzili go chudym grabieciem, usilowo obłaskawili. Kilku z nich szybko przebrało się w cywilne ubranie i ruszyło w drogę. Za nimi, ciągnąc na sznurku wystraszoną kozę, podążał szczupły wyrostek także ubrany w jakieś cudaczne łachmany.

— Gdzie to? Dokąd? Chłop chciał spytać o coś jeszcze, ale tamten uśmiechnął się tylko i krzyknął: „nie bój, pan” pośzedł przed siebie.

Tak rozpoczęła się jedna z pierwszych wypraw zwiadu 1. brygady korpusu czechosłowackiego, wczesnym rankiem 10 września 1944 r. Chłopak z kozą, ubezpieczony z daleka przez towarzyszy, błąkał się po polach i wzgórzach, wypatrywał stanowisk niemieckich dział, zapisywał ich pozycje na skrawku papieru i wędrował dalej. „Pastusz-

kowie” co pewien czas zmieniali się, przenosili z miejsca na miejsce, starając się nie rzucać Niemcom w oczy. Koza, cywilne ubranie, fałszywe dokumenty nie dawały żadnej gwarancji przed serią z karabinu maszynowego czy empi. A sztab niecierpliwie czekał na dane o nieprzyjacielu.

Jednym z tych zwiadowców był młodzik, czarny chłopak Petr Stupczuk, z Rusi Zakarpackiej, obecnie oficer milicji w Parduicach. W 1939 r. uciekł do ZSRR na wieść o aresztowaniu rodziców i spaleniu domu przez Niemców, którzy masłili się w ten sposób za ucieczkę starszego brata Petra za granicę. Obaj Stupczukowie trafili później do formacji czechosłowackich w Związku Radzieckim. Starszy zginął w bitwie pod Sokolowem, młodszy walczył pod Kijowem, przeszedł radziecki kurs dla zwiadowców i obecnie dowodził drużyną zwiadu. Już po zdobyciu Dukli otrzymał stopień oficerski. Za męstwo okazane w walkach udekorowany został czechosłowackim Krzyżem Walecznych 1939 i sześcioma medalami wojennymi.

Gospodarz zdumiał się ujrzawszy swoją kozę znów na podwórku. Szybko zrobił coś zjeść zwiadowcom i ułożył ich spać w stodole. Stary wojak z austriackiej armii domyślił się widać o co chodzi, bo następnym razem, choć żołnierze nie puścili pary gdzie i dokąd idą, udzielił im cennych wskazówek do-

tyczących terenu i pozycji niemieckich.

Tymczasem bataliony podciągnęły na podstawę wyjściową. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin zaszło wiele zmian. Dowódcą korpusu na miejsce gen. Kratochwilę mianowany został gen. Swoboda, dowodzący dotąd 1. brygadą. Postanowił on zabrać ją spod Machnowki, przerzucić nieco na zachód i atakować wzdłuż drogi Chorkówka — Kobylan, rozszerzając sukcesy sąsiednich jednostek radzieckich. Powodzenie tego natarcia stworzyłoby dla oddziałów niemieckich w rejonie Bóbrki i Wrocanki niebezpieczeństwo okrążenia.

W nocy z 9 na 10 września 1. brygada przeszła pod Chorkówkę i stała pozuwała się na południe, gdzie czekała ją nowa natarcia. Przemarsz odbywał się pod ogniem artylerii i bombami lotniczymi przeciwnika. Również po wschodzie słońca Niemcy nie szczędzili pocisków. Żołnierze czechosłowacy mimo wyczerpania wczorajszymi walkami i długim pochodem, mimo dwu nieprzespanych nocy szli szybko naprzód, gotując się do nowej rozprawy z wrogiem.

Wśród wysuniętych na pierwszy skraj oddziałów znajduje się nasz znajomy, podporucznik Teodor Fisch. Wybrał sobie punkt obserwacyjny, nawiązał łączność z zajmującą stanowiska o półtora kilometra z tyłu baterią i wysłał teraz trzech żołnierzy dla nawiązania kontaktu z dowódcą piechoty. Żołnierze poszli w lewo skrajem pobliskiego lasu. Ledwie jednak skryli się wśród drzew, gdy nagle zagadkał niemiecki erkaem. Odpowiedział mu huk granatu ręcznego, a po chwili z lasu wynurzyli się wysłani łącznościowcy, prowadząc jeńca-esesmana.

Fisch zaczął badać Niemca, kiedy zaterkotał telefon. Dzwonił dowódca batalionu Sedlaczek (obecnie generał), by omówić współdziałanie z baterią. Porucznik sięgnął po mapę, pochylił się nad nią ze słuchawką w rękę, gdy nagle jeńiec skończył w jego kierunku. Celem skoku

nie był jednak oficer, ale jego pępek nieśmiało na nasypie okopu. Esesman miał ją już niemal w ręku, ale porucznik, który instynktownie wyczuł ruch Niemca krzyknął: heraus du Schwein! i przytrzymał automat. Tymczasem żołnierze już dusili tamtego do ziemi.

Esesman dotąd butny i hardy nagle zmiał. Rzucił się na kolana, obejmując za nogi, pokazywał wyciągnięte z portfela zdjęcia rodziny. Tłumaczył, że był jeszcze zamroczony wybuchem tamtego granatu w lesie i dlatego „zapomnił” się na automat. Żołnierze patrzyli na niego z nienawiścią. — Nie tak byś ty mówił z nami gadając, gdybyś uciekł ci się dopaść tej pępek.

Około godziny 15 artyleria radziecka i czechosłowacka rozpoczęła ogniowe przygotowanie natarcia, a w kwadrans potem poszli na Niemców bataliony piechoty atakujące z linii wzgórz 441, Mysz-kowskie na zachodni skraj Kobylan. Znowu rozgorzały walki, w których to jedna, to druga strona była atakująca. Ziemia drżała od rozrywających się w jej wnętrzu pocisków, powietrze pełne było dymu, kurzu i słodkawego zapachu prochowych spalin.

Tyraliera 1. batalionu nadierała po prawej, 2. — po lewej stronie drogi do Kobylan. W pierwszej znów szli naprzód — tym razem w mundurach i bojowych sztykach — zwiadowcy Stupczuka, w drugiej młodzikutki fizylier z Wołynia, Emilian Macoun, przerażony jeszcze bitewnym hukiem, wstrząśnięty śmiercią wielu najbliższych kolegów, w większości towarzyszy lat dziesiętnych (z 66 ludzi jego oddziału zostało już tylko 11) patrzył ze zdumieniem na mijane sady. Na osmalonych kikotach drzew nie było ani jednego liścia, wśród gałęzi śliw, wisiały tylko pestki ob-

darte w dziwny sposób z reszty okopu. Był to rezultat salwy katiusz, która nakryła tu niemiecką baterię. Rozbite działa i trupy obsługi wałali się dokoła.

Odgłosy walki niosły się wzdłuż całej linii frontu. Z lewej, strony 3. brygady toczyła ciężkie boje nad Jasiolką, na południe od Wrocanki; z prawej dochodziło wycie pikujących samolotów i wybuchów bomb. To radzieckie „Ily” dokonywały nalotu na hitlerowców zajmujących Droganową. Wkrótce po nalocie Droganowa i Sulistrowa oczyszczone zostały z nieprzyjaciela.

Natarcie 1. brygady krok za krokiem wypierało Niemców z ich pozycji. Wieczorem 1. batalion oparował las na południe od Kobylan, fizylierzy zaś 2. batalionu wyrzucili przeciwnika ze wsi Pałacówka i dotarli do stoków wzgórza 534. Tutaj właśnie odłamkiem pocisku własnej artylerii ranny został Emilian Macoun, który z grupą zwiadowców wysunął się do przodu. Rannego po opatrzeniu w szpitalu polowym przewieziono do Krosna, a następnie do Rzeszowa, który do dziś serdecznie wspomina.

Ogólne straty korpusu tego dnia były jednak niewielkie: 19 zabitych w stosunku do 193 w dniu 9 września. Także liczba rannych i zaginionych była o połowę mniejsza niż w akcji pod Machnowką i Wrocanką. Żołnierze otrząsali się z szoku, jaki wywołało zaskoczenie przez artylerię nieprzyjaciela i krwawe ofiary dnia poprzedniego. Przekonali się, że hitlerowców można bić i choć wiedzieli, że walka będzie krwawa — spełniali swój obowiązek.

Najcięższe boje były jeszcze przed nimi.

W. Sz.